

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON

**DZIEWCZĘ ZE
SŁONECZNEGO
WZGÓRZA**

Björnstjerne Björnson

Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza

«Public Domain»

Björnson B.

Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza / B. Björnson — «Public Domain»,

Z serca krainy śniegów, Skandynawii, opowiadanie niezwykłego norweskiego pisarza i działacza społecznego, socjalisty Björnstjerne Björnsona, Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza (1857) w tłumaczeniu Franciszka Mirandoli. Tekst ten daje okazję przyjrzenia się przedstawionej bez mitologizacji à la Reymont obyczajowości wsi norweskiej, a także podejmuje m.in. problem przemocy jako problemu społecznego (również w rodzinie, gdzie stanowi ona niejako chorobę dziedziczną), proponując przy tym pewne metody kuracji. Björnson przyjaźnił się, ale też rywalizował na niwie literatury z silnie dziś obecnym w historii literatury europejskiej Henrykiem Ibsenem, którego pesymizmowi przeciwstawił myślenie pozytywne, przy równie głębokiej analizie obyczajowości i mechanizmów społecznych.

© Björnson B.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	12
Конец ознакомительного фрагмента.	18

Björnstjerne Björnson

Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza

I

Pośród wielkich dolin Norwegii znajduje się gdzieś odosobnione duże wzniesienie, które słońce oświetla przez cały dzień, od wschodu aż do zachodu. Mieszkańcy siedzib leżących bliżej stoków górskich, niezalewanych tak hojnie potokami słońca, zowią takie wzniesienia *Solbakken* – czyli słonecznymi wzgórzami. Ta, o której opowiedzieć tu zamierzam, mieszkała właśnie na takim wzgórzu, w zagrodzie nazwanej Solbakken. Śnieg w jesieni spadał tam najpóźniej, zaś z wiosną topniał najwcześniej.

Właściciele zagrody byli wyznawcami sekty religijnej Haugego i zwano ich badaczami Pisma Świętego, jak zresztą wszystkich sekciarzy, którzy gorliwiej od innych rozczytywali się w *Biblii*. Gospodarz nosił imię Guttorm, jego zaś żona – Karen. Pierworodny syn umarł im zaraz po urodzeniu i odtąd przez trzy lata noga ich nie postąpiła w tej stronie kościoła, w której stała chrzcielnica. Po tym czasie przysłała na świat córeczka. Na pamiątkę pierworodnego syna chcieli jej nadać imię podobne. Ponieważ on był ochrzczony jako Sywert, ona otrzymała na chrzcie imię Synnów. Nie mogli oboje wymyślić nic bardziej podobnego. Ale matka zwała córkę Synnów, gdyż przemawiała tak do niej, kiedy była małeńka. Twierdziła, że łatwiej mówić: – Moja Synnów, niż: – Moja Synnów. Ostatecznie, gdy dziecko podrosło, wszyscy za matką zwali ją Synnów. Panowało ogólne przekonanie, że jak daleko sięgnąć mogą pamięcią najstarsi, nie było w okolicy piękniejszego dziewczęcia od Synnów ze Słonecznego Wzgórza.

Była jeszcze małeńka, a już brali ją rodzice ze sobą do kościoła w każdą niedzielę, gdy tylko proboszcz miał kazanie. Zrazu co prawda nie rozumiała nic z tego, co mówił, myśląc jedynie, że proboszcz pomstuje na znanego obwiesia Benta, siedzącego pod samą kazalnicą. Ojciec jednak nie zaniechał zabierania małej do kościoła, chcąc, by się, jak mówił, „przyzwyczajała”; matka zaś nie sprzeciwiała się temu – gdyż „Bóg wie, co się jej w domu może przytrafić”. Ile razy nie chciało się u nich chować jagnię, koza czy prosię, ile razy zachorowała krowa – zawsze tę sztukę darowano małej na własność i matka twierdziła stanowczo, że od tego dnia wszystko zmieniało się na lepsze. Ojciec nie dawał temu wiary, ale było mu wszystko jedno, czyje było bydłatko, byle tylko nie chorowało.

W drugim końcu doliny, u samego podnóża wysokiej skały, leżała zagroda zwana *Granlien* – czyli Zbocze Świerkowe – nazwana tak od sporego lasu świerkowego, który ją otaczał. Był to jedyny tego rodzaju las w okolicy. Pradziad obecnych właścicieli był swego czasu wojakiem i przez jakiś okres przebywał w Holsztynie zagrożonym przez Rosjan. Z tej wyprawy przyniósł sobie w tornistrze różnego rodzaju nasiona zagraniczne i posiał je w pobliżu swej posiadłości. Z biegiem czasu jednak wszystkie rośliny zmarniały z wyjątkiem świerków, które wyrosły z ziarna szyszek zebranych przypadkowo. Z tych świerków, które się dobrze zakorzeniły, powstał las ocieniający teraz budynki zagrody ze wszystkich stron.

W rodzinie panował od niepamiętnych czasów zwyczaj, że najstarsi synowie zwali się na przemian – Torbjörn i Sämund. Wspomniany wojak na pamiątkę dziada otrzymał na chrzcie imię Torbjörn, zaś najstarszemu swemu synowi dał na imię Sämund – jak się zwał ojciec. Taka już była tradycja. Podobno – jak głosiła legenda – w Granlien szczęście sprzyjało tylko co drugiemu właścicielowi i właśnie nie temu, który nosił imię Torbjörn.

Ostatni właściciel, Sämund, z chwilą narodzin syna zastanawiał się głęboko, co uczynić. Ale po długim dumaniu doszedł do przekonania, że niepodobna zrywać z tradycją rodzinną i dał synowi imię Torbjörn. Potem jednak zaczął ponownie dumać, czy nie można by wychować chłopca w ten sposób, by go uchronić od niepowodzeń, które mu niesły tradycja i ludzka gadanina. Nie był pewny, czy mu

się to uda, ale zauważywszy w chłopcu skłonność do krnąbrności, powiedział żonie: „To muszę zeń wykorzenić!”. Brał tedy od czasu do czasu do ręki różgę i zmuszał trzyletniego malca do układania porozrzucanych ze złości polan drewna, podnoszenia kubka, który cisnął o ziemię, lub głaskania kota, którego wytargał za ogon. Żona spostrzegłszy, iż mąż wpada w taki nastrój, wychodziła zazwyczaj z domu.

Dziwiło to Sämunda, że w miarę jak chłopcu przybywało lat, coraz więcej było w nim wad do wykorzenienia, mimo iż postępował z nim coraz to surowiej. Zawczasu zasadził go do abecadła, a także zabierał go ze sobą w pole, by go nie tracić z oczu. Matka zajęta gospodarstwem i drobnymi dziećmi poprzestawała na gładzeniu syna po policzkach i udzielaniu zbawiennych rad co rano przy ubieraniu. Poza tym wstawiała się za nim do ojca, ile razy w niedzielę i święto siedzieli oboje w domu na poufnej pogawędce.

Torbjörn, który za byle co zawsze dostawał w skórę, nawet za to, że *a b* nie brzmiało – jak mówił – *ba*, ale *ab*, lub za to, że chciał zbić małą Ingrid tak samo, jak jego bił ojciec – rozmyślał nad dziwną zagadką, dlaczego jemu jest tak źle, a jego młodszemu rodzeństwu tak dobrze na świecie.

Przebywając ciągle z ojcem, a nie ośmielając się z nim dużo rozmawiać, stał się małomówny, ale za to dużo myślał. Pewnego dnia, kiedy byli zajęci przewracaniem suszącego się siana, wyrwało mu się pytanie:

– Czemuż to w Solbakken siano dawno już suche i zwiezione, a u nas mokre?

– Bo tam więcej słońca niż u nas! – odparł ojciec. Torbjörn po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że znajduje się poza sferą słoneczną, poza owym błogosławionym, oblanym jasnością osiedlem, które tak często pociągało jego oczy. Od tego dnia coraz częściej spoglądał ku Solbakken.

– Czemuż się znowu gapisz? – pytał ojciec, dając mu szturchańca. – Tutaj w Granlien musimy pracować wszyscy, młodzi i starzy, by nie zejść na psy.

Gdy Torbjörn miał lat siedem, odprawił Sämund parobczaka i przyjął innego, imieniem Aslak, który zwiedził pono dużo świata, mimo iż był zaledwie wyrostkiem. Tego wieczoru, kiedy Aslak przybył, Torbjörn leżał już w łóżku. Nazajutrz siedział przy stole i uczył się. Nagle ktoś otworzył drzwi z takim hałasem, jakiego Torbjörn w życiu nie słyszał. Do izby wszedł Aslak. Niósł olbrzymią naręcz drzewa opałowego i rzucił ją na podłogę z taką siłą, że polana rozleciały się na wszystkie strony, podskakiwał wysoko i tupał, by otrząsnąć śnieg z obuwia, a przy każdym kroku powtarzał:

– „Oj zimno!” mówiła naręczona krasnoludka, siedząc po pas w lodzie!

Ojca nie było w domu. Matka zmiotła śnieg i nic nie mówiąc, wyniosła go z izby.

– Cóż tak wytrzeszczasz ślepie? – powiedział Aslak.

– Nie wytrzeszczam! – odrzekł Torbjörn ze strachem.

– Czy widziałeś koguta, którego masz tam wymalowanego w książce? – spytał Aslak.

– Tak! – odparł Torbjörn.

– Gdy zamkniesz książkę, zlatuje się do niego mnóstwo kur! Czyś to widział?

– Nie!

– To zobacz!

Chłopak otworzył książkę.

– Osioł jesteś! – krzyknął Aslak z pogardą.

Od tej chwili miał na Torbjörna wpływ ogromny.

– Nic nie wiesz! Nic nie umiesz! – oświadczył raz Torbjörnowi, który dreptał za nim ciągle, chcąc wiedzieć, co robi.

– Umieję katechizm aż do czwartego rozdziału! – odparł chłopiec dumnie.

– Ba! To głupstwo! Ale nie znasz historii o krasnoludku, który tańczył z dziewczyną od świtu do zachodu słońca, a potem pękł jak ciele, które napiło się kwaśnego mleka.

Torbjörn nigdy w życiu nie słyszał tylu mądrych rzeczy na raz.

– Gdzież to było? – spytał.

– Gdzie?... Ano... To było... Tak... Tak, to się stało tam naprzeciwno, w Solbakken.

Torbjörn wytrzeszczył oczy.

– A czy słyszałeś o człowieku, który się zaprzedał diabłu za parę starych butów?

Torbjörn zaniemówił ze zdumienia.

– Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie się to stało? – pytał Aslak. – Ano także w Solbakken, ot tam, nad strumieniem, który stąd widać. Boże, bądź miłościw! – dodał po chwili. – Ładny z ciebie, widzę, chrześcijanin! Założę się, że nie wiesz nic o Kari, co miała drewnianą spódnicę?

Torbjörn nie słyszał o niej rzeczywiście.

Aslak pracował żwawo i rozprawiał przy tym wesoło o Kari w drewnianej spódnicy, o młynie mielącym sól na dnie morza, diable w sabotach, o krasnoludku, któremu rozłupany pień drzewa przyskrzypił brodę tak, że nie mógł się ruszyć, o siedmiu zielonych pannach, które wyrwały śpiącemu Piotrkowi kłusownikowi włosy z łydek, a mimo to nie mogły go zbudzić... Słowem gadał różne cudactwa, a wszystko to miało się stać tam... w Solbakken.

– Cóż się, na miły Bóg, stało chłopcu? – dziwiła się na drugi dzień matka. – Od samego rana kłęczą na ławce i wpatruje się w Solbakken.

– Rzeczywiście, gapi się jak cielę na malowane wrota! – powiedział ojciec.

Leżał na łóżku i odpoczywał całe poobiedzie, była to bowiem niedziela.

– Ludzie powiadają – zauważył od niechcienia Aslak że jest zaręczony z Synnöwe Solbakken! – i dodał: – Ale ludzie gadają często głupstwa!

Torbjörn nie zrozumiał dobrze, co mówi Aslak, ale mimo to zarumienił się po uszy. Usłyszawszy tę uwagę, zszedł z ławki, wziął katechizm i zaczął się uczyć.

– Dobrze robisz! – powiedział Aslak. – Pociesz się słowem bożym, bo i tak jej nigdy nie dostaniesz!

Minęło z pół tygodnia i Torbjörn sądził, że ta niedzielna sprawa poszła w zapomnienie. Pewnego dnia spytał matki po cichu – wstydził się bowiem...

– Mamo! Kto to jest Synnöwe Solbakken?

– To mała dziewczynka, która kiedyś będzie właścicielką Solbakken.

– Czy ona ma drewnianą spódnicę? – pytał już śmielej.

Matka spojrzała nań zdumiona.

– Co to znaczy? – spytała.

Czuł, że powiedział głupstwo i zamilkł.

– Nie ma chyba na świecie – mówiła matka – piękniejszego dziecka. To jest nagroda Pana Boga za to, że zawsze jest dobra, grzeczna i pilnie się uczy.

Dowiedział się zatem i tego.

Pewnego dnia pracował Sämund z Aslakiem w polu. Po powrocie do domu rzekł do syna:

– Zabraniam ci od dnia dzisiejszego zadawać się z Aslakiem.

Ale Torbjörn nie zważał na ten zakaz. Po jakimś czasie tedy odezwał się ojciec:

– Jeśli cię kiedy jeszcze zobaczę z tym nicponiem, to popamiętasz!

Od tego czasu włóczył się za Aslakiem potajemnie. Pewnego jednak dnia ojciec przyłapał ich na pogawędce.

Torbjörn dostał w skórę i został odesłany do domu. Odtąd spotykali się wówczas jeno, kiedy ojca nie było w domu.

Pewnej niedzieli, gdy ojciec był w kościele, Torbjörn dokazywał z Aslakiem. Rzucali się śniegiem.

– Nie... – zaprotestował w końcu Torbjörn, dostawszy parę kul w twarz i głowę. – Mam tego dosyć! Rzucajmy w coś innego.

Aslak się zgodził i zaczęli rzucać w małą sosnę stojącą obok lamusa¹, potem w drzwi, a na koniec w okno budynku.

¹ lamus – składzik; budynek gospodarczy do przechowywania narzędzi, sprzętów gospodarczych i rzadko używanych rzeczy.

– Nie rzucaj w szybę – ostrzegł Aslak – tylko w ramę!

Ale Torbjörn rozbił szybę i natychmiast pobladł ze strachu.

– Ba! Któż się o tym dowie? – pocieszał go przyjaciel. – Rzucaj dalej!

Torbjörn rzucił znów i rozbił drugą.

– Nie będę już rzucał! – oświadczył. W tej chwili ukazała się w drzwiach najstarsza siostra Torbjörna, mała Ingrid.

– Rzucaj w nią! – powiedział Aslak.

Torbjörn był podniecony i usłuchał. Dziewczynka zaczęła płakać, a na ten głos wyszła matka i zabroniła mu tej zabawy.

– Rzucaj dalej! – namawiał go Aslak.

I Torbjörn rzucił jeszcze raz.

– Oszalałeś, chłopcze? – zawołała matka i skoczyła ku niemu.

Zaczął uciekać, matka za nim i tak gonili się wokoło podwórza. Aslak śmiał się, a matka miotła pogrożki. Na koniec dopadła go w jakiejś zaspie i zamierzała wygarbować mu skórę.

– Niech mama mnie nie bije – krzyknął – bo oddam! Taki tu jest zwyczaj!

Przerażona matka opuściła rękę i powiedziała:

– Tego cię nauczył Aslak!

Wzięła go spokojnie za rękę i zaprowadziła do domu. Nie odezwała się doń ni słowem, zajęła się młodszymi dziećmi i powiedziała im, że niedługo ojciec wróci z kościoła.

W izbie zrobiło się nagle jakoś gorąco. Aslak poprosił o pozwolenie odwiedzenia krewniaka i otrzymał je natychmiast. Gdy wyszedł, odwaga do reszty opuściła Torbjörna. Zaczęły go brać mdłości i całe ciało oblało się potem. „O, żeby to matka nic nie mówiła ojcu!...” myślał, ale nie mógł się przezwyciężyć, by ją o to poprosić. Kręciło mu się w głowie. Wszystko tańczyło mu przed oczyma, a zegar tykał wyraźnie: „Ba-ty, ba-ty, ba-ty!”.

Nie mógł wytrzymać, wylazł na ławę i spojrzał ku Solbakken. Było ciche, przysypane śniegiem, połyskiwało w słońcu wszystkimi szybami. O, tam nie brakło na pewno ni jednej! Dym wznosił się rażno w górę. Zapewne gotowano posiłek dla tych, którzy mieli wrócić z kościoła. A Synnöwe? Oczekuje niewątpliwie ojca... ale nie dostanie w skórę... o nie... gdy wróci do domu.

Nie wiedział, co ze sobą zrobić, i nagle wezbrało w nim uczucie wielkiej serdeczności dla sióstr i podarował małej Ingrid najpiękniejszy, połyskujący guzik otrzymany w podarunku od Aslaka.

– Droga Ingrid – pytał – czy gniewasz się jeszcze na mnie?

– Nie, Torbjörnie! – odparła uszczęśliwiona. – Pozwalam ci nawet rzucać śniegiem we mnie, jak długo ci się będzie podobało.

Naraz usłyszał tupanie w sieni. Ktoś otrzepywał śnieg z nóg... Tak, to ojciec.

Wszedł. Miał minę łagodną i wesołą... A to było jeszcze gorsze!

– No i cóż? – spytał, rozglądając się wokoło. Torbjörn dziwił się bardzo, że zegar nie spadł w tej chwili ze ściany. Matka postawiła ojcu jedzenie.

– No, cóż słyhać w domu? – spytał ojciec, zasiadając przy stole i biorąc łyżkę.

Torbjörn spoglądał na matkę, a w jego oczach ukazały się łzy.

– Ooo... wszystko dobrze! – odparła matka przeciągając to „ooo” niezmiernie długo. Czuł dobrze, że chce powiedzieć coś więcej. Ale dodała tylko: – Pozwoliłam wyjść Aslakowi.

„Teraz się zacznie” – pomyślał Torbjörn i zaczął bawić się z Ingrid z takim zapałem, jak gdyby go poza tym nic na świecie nie obchodziło.

Nigdy nie zużył jeszcze ojciec tyle czasu na jedzenie. Torbjörn rachował kęsy, gdy zaś doszedł do czwartego, zapragnął przekonać się, do ilu doliczyć potrafi między czwartym a piątym... i stracił w ten sposób rachubę. Na koniec ojciec wstał i wyszedł na dwór.

„Szyby... szyby... szyby!...” – tętniło w uszach chłopca i mimo woli rozejrzał się po izbie, czy i tu jakiejś nie brak. Ale nie, wszystkie były całe.

Po chwili wyszła matka. Torbjörn wziął małą Ingrid na kolana i powiedział do niej tak czule, że aż zdziwiona spojrzała mu w oczy:

– Chcesz, byśmy się zabawili w królewnę na łące?

Dziewczynka zgodziła się z pośpiechem, a Torbjörn zaśpiewał, czując, że nogi drżą pod nim:

Kwiateczku mały,
Śliczny kwiateczku,
Czy chcesz być moim kochankiem?
Dostaniesz płaszczyk nowy,
Czerwony, atłasowy,
Złotem przybrany,
Perłami haftowany.
Tralala... tralala... tralala...
Królewny słuchać trza!

Ingrid odpowiedziała:

Królewno mała,
Śliczna królewno,
Nie chcę być twoim kochankiem,
Nie nęci mnie płaszcz nowy,
Czerwony, atłasowy,
Złotem przybrany,
Perłami haftowany.
Tralala... tralala... tralala...
Nie chcę królewno ma.

Właśnie w najpiękniejszym miejscu zabawy wszedł ojciec i spojrzał ostrym wzrokiem na syna. Torbjörn przycisnął do siebie mocniej Ingrid i – o dziwo – nie spadł z krzesła. Ojciec odwrócił się od niego bez słowa.

Minęło pół godziny, a ojciec milczał i Torbjörn uczył ulgę, ale nie śmiał jeszcze wierzyć, że mu to ujdzie na sucho. Nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim, i gdy ojciec sam pomagał rozbierać go do snu, zaczął drzeć na całym ciele. Ojciec pogładził go czule po włosach i policzkach. Nie zdarzyło się to nigdy jeszcze, jak mógł sięgnąć pamięcią, toteż ciepło objęło jego serce i całe ciało, trwoga przeminęła i stopniała jak lód w słońcu.

Sam nie wiedział, jak się dostał do łóżka. A ponieważ radości swej nie mógł objawić ani śpiewem, ani okrzykami, przeto złożył ręce i po cichuteńku odmówił „Ojcze nasz” sześć razy naprzód i sześć razy wstecz, a zasypiając czuł, że na całym bożym świecie nie ma człowieka, który by dlań był tym, czym ojciec.

Nazajutrz obudził się z okropnym strachem. Nie mógł krzyczeć, ale wiedział, że teraz oto spadną nań ciężki. Otwarł oczy i przekonał się z ogromną ulgą, iż to był jeno sen. Niebawem zauważył, że w skórę dostanie ktoś inny, mianowicie Aslak.

Sämund spacerował tam i z powrotem po izbie, a takie jego kroki znał Torbjörn doskonale. Krępy, trochę za niski, ale silny chłop spozierał raz po raz spod krzaczastych brwi na Aslaka i nie ulegało wątpliwości, że groźna burza wisi w powietrzu. Aslak siedział na wielkiej beczie i bujał nogami, czasem podwijając jedną pod siebie. Ręce jak zwykle trzymał w kieszeniach spodni, a czapkę

nasunął na czoło i oczy tak, że włosy sterczały mu po obu stronach, a oczu widać nie było. Skrzywione zazwyczaj grymasem usta były dzisiaj jeszcze bardziej krzywe.

Po długim milczeniu Aslak zaczął pierwszy:

– Wasz syn, gospodarzu, zwariował! Ale jeszcze gorsza rzecz, że ktoś na waszego siwka rzucił czary.

– Ty łajdaku bezwstydy! – wrzasnął Sämund, aż zadudniło w izbie.

Aslak przekrzywił głowę na bok, a Sämund chodził dalej tam i z powrotem.

– Naprawdę koń jest zepsuty przez czary... – zaczął znów Aslak badając, jakie wrażenie wywołają te właśnie słowa.

– Czary... naturalnie, że czary! – wrzasnął Sämund. – A któż to zrobił, jak nie ty, drabie jeden? Ścinałeś w lesie drzewo i spuściłeś je na konia... oto powód, dlaczego teraz nie chce ciągnąć!

Aslak słuchał spokojnie przez jakiś czas, a potem rzekł:

– Wierzcie sobie w to. Wiara nikogo nie hańbi. Ale wątpię, czy dlatego koń przyjdzie do siebie!

Aslak posunął się jednocześnie na beczce i osłonił twarz ręką.

Sämund przystąpił doń blisko i powiedział głosem przyciszonym, zwiastującym wściekłość:

– Jesteś ostatniego rzędu...

– Sämund! – rozległo się wołanie żony, Ingeborgi.

Uspokajała męża i jednocześnie niemowlę przy piersi, które przerażone zabierało się do płaczu.

Dziecko uspokoiło się i Sämund także. Podsunął tylko pod nos Aslaka pięść – może nieco za małą w stosunku do rozmiarów ciała – i pochyłony nad nim wiercił go na wylot ostrym spojrzeniem.

Potem rozpoczął na nowo wędrówkę po izbie, rzucając od czasu do czasu okiem na Aslaka, który pobladł. Mimo to stronę twarzy zwróconą do Torbjörna wykrzywił drwiącym grymasem, podczas gdy druga strona – zwrócona do Sämunda – pozostała spokojna.

– Boże, uzbrój nas w cierpliwość! – westchnął po chwili Aslak z szyderstwem, ale równocześnie uniósł w górę łokieć dla odbicia spodziewanego ciosu.

Sämund przystanął. Tupnął tak, że beczka wraz z Aslakiem podskoczyła w górę, i krzyknął co sił w piersiach:

– Nie wymieniaj Jego imienia... ty...

Ingeborga przybiegła wraz z dzieckiem i chwyciła męża za rękę. Nie spojrział na nią, ale opuścił ramię. Ona siadła, a on znowu zaczął przemierzać izbę krokami. Przez czas dłuższy trwało milczenie, a Aslak, nie mogąc wytrzymać, odezwał się:

– O tak... *On* miałby dużo do roboty w Granlien, ho, ho!

– Sämund! Sämund! – krzyknęła błagalnie Ingeborga, ale on rzucił się już z wściekłością na Aslaka. Ten wysunął w obronę nogę, lecz Sämund chwycił jedną ręką za nią, a drugą za kołnierz chłopaka, podniósł go w górę i cisnął z taką siłą w zamknięte drzwi, że kwatery drzewa wypadły z osady, a za nimi wyleciał do sieni sam Aslak.

Matka, Torbjörn i wszystkie dzieci krzykiem błagały o zmiłowanie dla Aslaka, cały dom rozbrzmiewał wrzaskami, ale Sämund nie słuchał, wybiegł za chłopakiem, podjął go z ziemi, wyniósł na podwórze, podniósł w górę i grzmotnął nim powtórnie o ziemię. Ale spostrzegłszy, że w miejscu, gdzie leży, jest za dużo śniegu, by się mógł porządnie potłuc, przycisnął mu kolanem piersi i walił przez chwilę po twarzy, potem niby wilk niosący zdobycz podjął go ponownie i cisnął na twardą ziemię. Tutaj przywarł go znów kolanem i zaczął okładać.

Kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie Ingeborga, która z niemowłkiem na ręku odciągnęła męża od nieszczęsnej ofiary.

– Sprowadzisz nieszczęście na nas wszystkich! – krzyknęła i to otrzeźwiło Sämunda.

W chwilę potem Ingeborga siedziała w izbie. Torbjörn ubierał się, ojciec chodził znowu tam i z powrotem, popijając od czasu do czasu wodę. Ale ręce tak mu się trzęsły, że woda rozbryzgiwała się po ziemi. Aslak się nie pokazywał, więc Ingeborga chciała zobaczyć, co się dzieje.

– Zostań! – warknął Sämund głucho, jakby mówił do kogoś obcego.

Po chwili jednak wyszedł sam i nie wrócił rychło. Torbjörn wziął książkę i uczył się pilnie, nie podnosząc oczu, mimo że nie rozumiał ani jednego słowa z tego, co czytał.

Potem powrócił znów dawny ład, wszyscy się uspokoili, ale nikt nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przed godziną był w domu ktoś obcy i straszny. Torbjörn ośmielił się wreszcie wychylić za próg i natknął się na Aslaka, który pakował swe manatki na sanki, będące zresztą własnością Torbjörna. Chłopiec patrzył przerażony, bo Aslak strasznie wyglądał. Cała twarz i znaczna część odzieży pokryte były krwią. Kaszłał i obmacywał swą pierś. Spoglądał przez chwilę na Torbjörna w milczeniu, a potem krzyknął:

– Wynoś się, nie zniosę twego widoku!

Siadł na sanki jak na konia i zjechał ze spadzistego wzgórza.

– Długo poczekaś na swoje sanki! – wrzasnął jeszcze z oddali, odwracając się i pokazując mu język.

Takie było pożegnanie Aslaka.

Coś w tydzień po tym zjawił się w Granlien policjant. Później ojca często nie bywało w domu. Matka płakała, a potem i ona często była nieobecna.

– Co to znaczy? – spytał raz Torbjörn matkę.

– To wszystko przez Aslaka! – odparła.

Pewnego dnia przyłapano małą Ingrid, jak śpiewała:

Już mi życie się zmierziło,
Wszystko się tu przewróciło!
Córka skacze jak szalona,
Syn się gapi jakby wrona,
Siedzi w oknie istny kołek,
Jest to wariat i matolek!
Matka w jadło miast słoniny
Leje wodę bez przyczyny!
Ojciec, leń, na łóżku leży,
Tyle, że w swą *Biblię* wierzy!
Kot, najmędrzy w całym domu,
Spija mleko po kryjomu!

Oczywiście zarządzone śledztwo, skąd się nauczyła tych wierszy. Wyznała, że słyszała je od Torbjörna. On zaś przerażony oświadczył, że nauczył go tej piosenki Aslak.

– Jeśli będziesz to śpiewał lub uczył innych – powiedział ojciec – dostaniesz lanie!

Niedługo potem zaczęła mała Ingrid kłąć. Torbjörn został wzięty na spytki i Sämund zawyrokował, że najlepiej mu zaraz wygarbować skórę. Ale chłopiec wypraszał się i czynił tak piękne obietnice, że uniknął tym razem kary.

Następnej niedzieli powiedział doń ojciec:

– Nie będziesz dzisiaj wyprawiał głupstw w domu! Pójdiesz ze mną do kościoła!

II

W myślach i uczuciach chłopca szczególnie wybitną pozycję zajmuje kościół. Jest to miejsce święte, chronione przed zgiełkiem świata podniosłą ciszą otaczającego je cmentarza, a wewnątrz tryskające żywym nabożeństwem. Jest to jedyny budynek w całej dolinie odznaczający się przepychem, a jego wieża ma dlatego zasięg znacznie szerszy, niżby się mogło wydawać. Już z dala dzwony witają chłopca idącego drogą w pogodny ranek niedzielny, a przy ich dźwiękach zdejmując on zawsze kapelusz, jak gdyby chciał powiedzieć: „Dziękuję za wszystko!”. Między chłopcem a tymi dźwiękami istnieje jakiś związek, którego tajemnice trudno zgłębić.

Już jako małe dziecko, stojąc w otwartych drzwiach chaty, wchłaniał je z nabożeństwem, a w dole wierni ciągnęli cicho drogą. Ojciec dołączał do nich, on jednak był jeszcze za mały. W duszy dziecka powstawały najrozmaitsze obrazy pod wpływem ciężkich, silnych uderzeń dzwonów, które rozbrzmiewały władczo wśród gór przez całą godzinę lub i dłużej jeszcze, a echo wtórowało im po obu stronach doliny. Jeden wszakże obraz łączył się nierozdzielnie z ich tonami: czyste, piękne stroje, konie wyczyszczone jak najstaranniej, w błyszczących szorach².

A kiedy nadejdzie owa niedziela, gdy on sam w nowiuteńkim, może cokolwiek zbyt obszernym dla niego ubraniu kroczyć będzie dumnie przy boku ojca, idąc po raz pierwszy do kościoła, dzwony rozdzwonią się radośnie nad jego szczęściem, radość będą głosić naokoło. Roztworzą one przed jego oczyma podwoje na wszystko, co ma ujrzeć. A gdy będzie wracał z głową ciężką jeszcze i rozkołysaną przez śpiewy, nabożeństwo, kazanie, pełną przeżywanych równocześnie wrażeń wzrokowych, jak obraz w ołtarzu, stroje, osoby, wtedy dźwięki dzwonów utworzą sklepienie nad całością wrażeń i uświęcą ten kościół, który na stałe zajmie miejsce w jego sercu.

Podrósłszy cokolwiek będzie musiał pójść z bydlęciem w góry. I gdy w rażny, spowity oparami mgieł ranek niedzielny siedzieć będzie na skale, dając baczenie na inwentarz, i usłyszy dźwięki dzwonów kościelnych zagłuszających porykiwanie zwierząt, ogarnie go smutek. Przecież te dźwięki przynoszą mu z doliny coś bardzo miłego, lekkiego, wabiącego – myśl o znajomych sprzed kościoła, radość z pobytu wśród nich, większą jeszcze, niżby się tam było samemu, zapach niedzielnego obiadu w domu, widok matki, ojca, rodzeństwa, wspomnienie wesołej zabawy w spokojny wieczór niedzielny... biedne serce zbuntuje się w piersi. Bo tu nic z tego wszystkiego – tylko dźwięki dzwonów kościelnych! Zbierze więc swe myśli i przypomni sobie jakiś urywek pieśni nabożnej. Zaśpiewa ją ze złożonymi rękoma, ze wzrokiem zwróconym ku dolinie, odmówi potem krótką modlitwę – i zerwie się z miejsca, i zadmie radośnie w swą drewnianą trąbę pastuszą, aż echo odezwie się po skałach.

Tu, w tych cichych górskich dolinach kościół posiada jeszcze dla każdego wieku swą szczególną wymowę, własny swój wygląd dla każdego oka. Wiele mógł być on zbudować do pewnego czasu, lecz później nic już więcej. Dla młodzieży po confirmacji stoi on wykończony, dorosły. Stoi z palcem na poły grożącym, na poły przywołującym – skierowanym ku młodzieńcowi, który wybrał już swoją drogę życia, stoi silny, o szerokich barach wobec trosk mężczyzny, łagodny i gościnnie przywołujący wobec strudzonego starca. Chrzest niemowląt odbywa się podczas nabożeństwa – a wiadomo, że w czasie tej ceremonii następuje najsilniejsze skupienie w modłach.

Torbjörn wyczekiwał swej pierwszej wyprawy do kościoła z wielką radością, ciekaw tego wszystkiego, co miał zobaczyć. Przed wejściem do świątyni rozkoszował się bajeczną kolorowością tłumu, a znalazłszy się w kościele, odczuł poważne skupienie, w którym cała gmina czekała na rozpoczęcie nabożeństwa. Zapomniał wprawdzie, że przy odczytywaniu modlitwy wstępnej należy pochylić głowę, lecz na widok setek pochylonych postaci i jego dusza ukorzyła się przed bożym majestatem. Zabrzmiała pieśń, wszyscy wokół niego śpiewali psalm. Przejęło to chłopca niemal lekkim drżeniem. Siedział w głębokiej zadumie – drgnął nagle, jakby zbudzony ze snu, gdy ktoś,

² szory – uprząż koni pociagowych. [przypis edytorski]

wchodząc do ich ławki, cicho otworzył drzwiczki. Śpiew zamilkł, a ojciec, podając przybyszowi rękę na powitanie, zapytał szeptem:

– W Solbakken wszystko w porządku?

Torbjörn otworzył szeroko oczy. Ale chociaż długo przyglądał się przybyłemu, nie mógł w żaden sposób dopatrzeć się w nim niczego, co by miało coś wspólnego z czarami. Był to mężczyzna dobroniosny, uśmiechnięty, jasnowłosy, o dużych niebieskich oczach i wysokim czole. Gdy doń mówiono, uśmiechał się i na wszystko, co mówił Sämund, odpowiadał: „tak... tak... tak”. Był widocznie małomówny z natury.

– Popatrz – rzekł ojciec – tam siedzi Synnöwe!

Pochylił się, posadził go sobie na kolanach i wskazał na przeciwległą ławkę przeznaczoną dla kobiet.

Kłęcząca tam na siedzeniu mała dziewczynka i oparta o pulpit rozglądała się po kościele. Miała włosy bardzo jasne, konopiaste, dużo jaśniejsze niż ów jegomość siedzący obok ojca. Z małego czepeczka powiewały czerwone wstążki. Śmiała się doń wesoło, tak że przez dobrą chwilę nie mógł odwrócić uwagi od jej drobnych, białych ząbków. W jednej ręce trzymała pięknie w skórę oprawny śpiewnik, w drugiej złożoną jasnoczerwoną jedwabną chusteczkę. Bawiła się, uderzając nią po książce.

Im dłużej patrzył, tym więcej się uśmiechała. Po chwili ukląkł na ławce tak jak ona. Wówczas kiwnęła mu głową. Przez moment patrzył na nią z powagą, potem skinął również głową. Roześmiała się i odpowiedziała nowym ukłonem. I tak kiwali głowami. Po chwili Synnöwe zaprzestała tej zabawy, a dopiero potem, gdy i on przestał kiwać głową, rozpoczęła ją na nowo.

– Teraz ja chcę zobaczyć!

Torbjörn posłyszał jakiś głos za sobą i uczył, że go ktoś ściąga za nogi. Omalże nie zleciał z ławki. Sprawcą był niewielki, silny wyrostek, który teraz mężnie wdrapywał się na jego miejsce. Miał również jasne, zmierzwiłone włosy i krótki, perkaty nos.

Aslak nauczył Torbjörna, jak należy traktować złych malców zarówno w szkole, jak i w kościele, gdy przyjdzie do konfliktu. Przeto Torbjörn uszczypnął dotkliwie intruza w pośladek. Ten omal nie wrzasnął, ale przewyciężył ból, pośpiesznie zszedł z ławki i chwycił Torbjörna za uszy. Torbjörn wbił obie ręce w jego włosy i cisnął go o ziemię. Malec nie krzyknął, tylko milczkiem ugryzł go w łydkę. Torbjörn cofnął nogę i z całej siły przydusił twarz przeciwnika do podłogi. W tej chwili jednak poczuł, że go ojciec chwytą za kołnierz i podnosi w górę niby worek z owsem. Po chwili siedział znów na jego kolanach.

– Gdyby nie to, że jesteśmy w kościele – powiedział doń – dostałbyś lanie!

Jednocześnie ścisnął mu rękę, że Torbjörn omal nie krzyknął z bólu.

Przypomniawszy sobie o Synnöwe i spojrzawszy w jej stronę. Kłęcząca jeszcze, ale była przerażona i zmieszana. Wywnioskował z tego, że musiał uczynić coś bardzo brzydkiego. Gdy zauważyła, że na nią patrzy, zesza z ławki i nie pokazała się wcale.

Wtem zjawił się zakrystian i pastor.

Torbjörn przypatrywał im się uważnie. I znowu przyszedł zakrystian a za nim pastor... On siedział na kolanach ojca i myślał:

„Czy ona się jeszcze pokaże?”

Malec, który go ściągnął z ławki, siedział na małym stołeczku na drugim końcu stalli i ile razy chciał wstać, dostawał w plecy kułakiem od starego jegomościa, który drzemał smacznie, ale budził się zawsze w porę, by zatrzymać malca na miejscu.

„Czy ona się wnet pokaże?” – dumał Torbjörn.

Każda czerwona wstążka, jaką ujrzał w pobliżu, przywodziła mu na myśl tę, którą ona była przybrana, każdy pięknie malowany obraz wydał mu się podobny do Synnöwe, tylko postacie były nieco mniejsze od niej.

„Ach! – zauważył z radością. – Oto wychyla główkę!” Ale zaledwie go spostrzegła, przybrała surową minę i schowała się.

Znowu ukazali się zakrystian i pastor, dzwony zaczęły dzwonić, a wierni powstali z miejsc.

Ojciec powiedział coś z cicha do jegomościa o jasnych włosach i obaj odeszli do ławki przeciwległej, w której kobiety również powstały.

Pierwsza wyszła jasnowłosa kobieta. Uśmiechała się podobnie jak ów jegomość, tylko mniej wesoło. Była mała, blada. Prowadziła za rękę Synnöwe. Torbjörn zbliżył się zaraz do niej, ale ona odsunęła się szybko i skryła główkę w fałdach matczynej spódnicy.

– Idź sobie! – powiedziała.

– Ten chłopczyzna – ozwała się kobieta – nie był dotąd jeszcze w kościele?

Położyła mu dłoń na głowie.

– Jest dziś po raz pierwszy – odparł Sämund – i dlatego rozpoczął bójkę.

Torbjörn spojrział zawstydzony na ową kobietę, a potem na Synnöwe, która wydała mu się teraz jeszcze poważniejsza.

Wyszli razem. Rodzice zatopili się w rozmowie, a Torbjörn szedł zaraz za Synnöwe, która za każdym zbliżeniem czepiała się trwożnie sukni matki. Tamtego chłopca stracił zupełnie z oczu. Przed kościołem starsi rozgadali się na dobre. Torbjörn usłyszał parę razy imię Aslaka, a bojąc się, by przy tej sposobności nie wspomniano także o nim, odsunął się na bok.

– To nie dla ciebie! – powiedziała matka do Synnöwe.

– Odejdź trochę od nas, moje dziecko... mówię ci, oddał się...

Synnöwe odeszła z wahaniem kilka kroków.

Torbjörn zbliżył się teraz do niej. Stali przez chwilę naprzeciw siebie i oglądali się wzajemnie. Na koniec powiedziała Synnöwe:

– Pfe!

– Czemuż mówisz pfe? – zdziwił się.

– Pfe! – powtórzyła z uporem. – Pfe! Wstydź się!

– Cóż takiego zrobiłem? – zapytał.

– Biłeś się w kościele i to podczas modlitwy... pfe!

– Tak... ale to już bardzo dawno!

To ją przekonało i spytała po chwili.

– Czy ty nazywasz się Torbjörn Granlien?

– Tak! A ty Synnöwe Solbakken?

– Tak. Słyszałam zawsze, że jesteś taki grzeczny!

– Nie! To nieprawda! – odparł. – Jestem najgorszy ze wszystkich w całym domu!

– Ach! Któż tak mówi! Tego jeszcze nie słyszałam! – zawołała Synnöwe, uderzając w zdumieniu chustką w książkę... – Mamo! Mamo... on powiada...

– Dajże mi spokój i odejdź... – odrzekła matka. Zatrzymała się, a potem wróciła do Torbjörna, nie spuszczając z matki wielkich, niebieskich oczu.

– Słyszałam – ozwał się Torbjörn – że ty jesteś zawsze grzeczna.

– Tak... czasem... Tak mówią, gdy się pilnie uczę! – odparła.

– Czy to prawda, że u was pełno krasnoludków, czarownic i innych złych duchów? – zapytał, biorąc się pod boki. Wysunął jedną nogę i przybrał minę wyzywającą, zupełnie jak Aslak.

– Mamo... mamó! Wiesz, co on mówił! On powiada...

– Daj mi spokój... rozumiesz? I nie zbliżaj się, aż cię nie zawołam.

Musiła znowu cofnąć się. Szła z wolna wstecz, gryząc chusteczkę i szarpiąc ją w zębach.

– Czy to prawda, że u was w krzakach nad stawem co noc słychać muzykę? – pytał Torbjörn.

– Nieprawda!

– Czyś nigdy nie widziała krasnoludka?

– Nie!

- Ależ na miłość boską!...
- Pfe! Nie mów tak!
- O... cóż to szkodzi! – zawołał i splunął silnie przez zęby, chcąc jej pokazać, jak daleko pluć potrafi.
- Tak... tak... strzeż się! – zauważyła. – Inaczej pójdziesz prosto do piekła.
- Tak myślisz? – spytał pokorniejszym głosem. Zawsze sądził, że co najwyżej może za to dostać bicia, a w tej chwili ojciec stał dosyć daleko.
- Kto jest u was w domu najsilniejszy? – spytał i nasunął czapkę na jedno ucho.
- Nie wiem... – odrzekła Synnöwe z zakłopotaniem.
- U nas najmocniejszy jest ojciec. Jest tak silny, że sprął nawet Aslaka, a Aslak jest silny...
zaręczam ci!
- Tak?
- Oo, naturalnie! Pewnego razu podniósł w jednej ręce konia!
- Tak... to prawda! Sam to mówił.
- Oczywiście i ona uwierzyła natychmiast.
- Któż to jest Aslak? – spytała.
- To zły chłopak! Powiadam ci, ojciec tak go sprął, jak dotąd nie zbito jeszcze nikogo na całym świecie!
- Więc wy się ciągle bijecie?
- Czasem... A wy nie bijecie się nigdy w Solbakken?
- Nie, nigdy!
- A cóż robicie w takim razie? – spytał zdziwiony.
- Matka gotuje, robi pończochy i szyje. To samo czyni Karin, ale nie tak dobrze jak mama, bo jest leniwa. Randi zajmuje się kuchnią, ojciec i parobcy pracują w polu albo także w domu.
- Torbjörn był zupełnie zadowolony z tego, co usłyszał.
- A wieczorami – mówiła dalej – czytamy i śpiewamy. To samo robimy każdej niedzieli.
- Wszyscy razem?
- Tak!
- To musi być bardzo nudne!... – zauważył.
- Nudne?... Mamo... on powiada...
- Ale przypomniała sobie, że nie wolno przeszkadzać matce.
- Mam bardzo dużo owiec! – powiedziała, zwracając się do niego.
- Bardzo dużo? – zdziwił się.
- Tak! A trzy z nich tej zimy są kotne. Jedna nawet, pewna jestem, będzie miała dwojaczki.
- Masz więc owce?
- Tak! I krowy, i prosięta! A ty nie masz?
- Nie!
- Przyjdź do mnie! Dam ci owieczkę. A z niej potem dochowasz się bardzo dużo owiec.
- To byłoby bardzo dobrze! – zauważył.
- Milczeli przez chwilę. Potem on spytał:
- Czy Ingrid mogłaby także dostać owcę?
- Któż to jest Ingrid?
- Ingrid! Mała Ingrid.
- Nie znała jej.
- Czy ona jest mniejsza od ciebie?
- Naturalnie! Jest taka jak ty!
- O, to przyprowadź ją ze sobą! Słyszysz?
- Zapewnił, że to uczyni niewątpliwie.
- Dobrze! – powiedziała. Ty dostaniesz owcę, a ona prosię!

Uznał, że było to bardzo mądrze pomyślane. Potem zaczęli sobie opowiadać o znajomych, których zresztą mieli niewielu. Rodzice skończyli tymczasem rozmowę. Ruszono w drogę do domu.

Tej nocy Torbjörn śnił o Solbakken. Widział mnóstwo białych owiec, a pośród nich dziewczynkę z czerwonymi wstążkami na głowie. Wraz z Ingrid rozprawiali teraz po całych dniach o spodziewanych odwiedzinach i marzyli o owcach i prosiętach, których namnożyło się tyle, że nie wiedzieli, co z nimi począć. Dziwowali się bardzo, że nie pozwolono im ruszyć zaraz do Solbakken.

– Jak to? Macie iść dlatego, że ta mała was zaprosiła? Czy kto słyszał coś podobnego?

– Czekaj! Czekaj do niedzieli! – pocieszał Torbjörn siostrę. – Ja to już urządzę!

I nadeszła niedziela.

– Podobno straszny z ciebie pyszałek, kłamca i klniesz co drugie słowo! – powiedziała mu Synnöwe. – Nie będziesz mógł dostać pozwolenia na przyjście, zanim się od tego nie odzwyczaisz!

– Któż to powiedział? – spytał zdumiony.

– Mama!

Ingrid wyczekiwała jego powrotu z niecierpliwością. Gdy jej oraz matce opowiedział co zaszło, matka rzekła:

– A widzisz!

Ingrid nie ozwała się słowem, ale od tej chwili pilnowały go obie wraz z matką, by się nie przechwalał i nie kłął. Pewnego dnia doszło między nim a siostrą do starcia z powodu kwestii czy wyrażenie „psiakość!” jest kłętą, czy nie! Ingrid dostała w skórę, a on przez cały dzień powtarzał:

– Psiakość... psiakość...

Usłyszał to wieczorem ojciec.

– Masz psiakość! – krzyknął i uderzył go tak, że padł na ziemię.

Torbjörn zawstydził się bardzo, gdyż stało się to w obecności siostry. Ale po chwili Ingrid zbliżyła się i pogłaskała go po twarzy.

Dopiero po kilku miesiącach udali się oboje do Solbakken. Potem przysłała do nich Synnöwe, a oni oddali jej wizytę i tak odwiedzali się ciągle wzajemnie, aż wyrosli.

Torbjörn i Synnöwe rywalizowali ze sobą w nauce. Uczęszczali do tej samej szkoły, a Torbjörn czynił takie postępy, że zajął się nim sam pastor. Ingrid nie mogła nadażyć i brat wraz z Synnöwe musieli jej pomagać. Nie rozłączały się obie, tak że zwano je turkaweczkami, bo zawsze były razem i miały takie same jasne włosy.

Od czasu do czasu gniewała się Synnöwe na Torbjörna z powodu jego skłonności do bijatyki. Ale Ingrid obejmowała rolę pośredniczki i godziła ich, tak że na nowo stawali się dobrymi przyjaciółmi. Za to gdy matka Synnöwe dowiedziała się o takiej bójce, ostro zabraniała mu przybywać do Solbakken przez cały tydzień, a w następnym z wielkim jeno trudem mógł uzyskać przebaczenie.

Sämundowi nie wolno było nawet wspominać o przekroczeniu syna.

– Obchodzi się on z chłopcem zbyt surowo! – biadała i nakazywała wszystkim milczenie.

Wyrosli wszyscy troje i byli piękni i dorodni, każde w swoim rodzaju. Synnöwe była śmigłą, wysoka i gibka. Zachowała swe jasne włosy, śliczną buzię i niebieskie oczy. Uśmiechała się w rozmowie do każdego, a ludzie mówili, że uśmiech jej to prawdziwe błogosławieństwo boże. Ingrid była niższa i bardziej przysadzista, buzię miała miłą o miękkich rysach i jasne, faliste włosy. Torbjörn był średniego wzrostu, silny i piękny. Włosy miał ciemne i ciemnoszafirowe oczy, ostre rysy twarzy i silne członki. Ile razy wpadał w złość, twierdził, że umie tyle co nauczyciel i nie boi się żadnego człowieka w całej dolinie... z wyjątkiem ojca dodawał w myśli, ale nie mówił tego głośno.

Torbjörn chciał przystąpić wcześniej do pierwszej komunii, ale to spełzło na niczym.

– Dopóki jeszcze jesteś uczniakiem i smarkaczem – rzekł ojciec – prędzej sobie mogę z tobą dać radę!

Stało się tedy, że Torbjörn udał się do pastora razem z Synnöwe i Ingrid. Synnöwe także długo czekała na confirmację, rozpoczęła bowiem szesnasty rok życia.

– Nigdy nie można być dość dobrze przygotowaną do należytego złożenia wyznania swej wiary!
– powiedziała matka, a Guttorm Solbakken dał na to swe zatwierdzenie.

Toteż sprawa przeciągała się tak długo, aż zjawili się w Solbakken konkurenci. Jeden syn pewnego dostojnika, drugi – bogaty sąsiad.

– To za wcześnie! – twierdziła matka. – Wszakże nie jest jeszcze confirmowana!

– No, to chodźmy do pastora! – oświadczył Guttorm.

Ale sama Synnöwe nie wiedziała nic o konkurach. Kobiety z plebanii bardzo ją lubiły i zapraszały często na pogadankę. Torbjörn i Ingrid nie byli tam dopuszczani i gdy pewnego razu któryś z wyrostków zauważył:

– Czemu się nie bierzesz do rzeczy! Inny ci ją porwie sprzed nosa! – niefortunny doradca miał za chwilę podbite oko. Weszło w zwyczaj, że prześladowano Torbjörna wzmiankami o Synnöwe, a to doprowadzało go zawsze do szalonej pasji.

Skutkiem tych przycinków doszło raz do wielkiej, z góry ułożonej bijatyki w lasku przylegającym do plebanii. Liczba tych, z którymi Torbjörn miał walczyć, wzrastała ciągle, tak że w końcu miał całą falangę przeciw sobie. Dziewczęta, które by mogły interweniować, wyruszyły do domu, dla Torbjörna sprawa przedstawiała się wcale niewesoło. Nie chciał się poddać, przeciwnicy nastawali coraz to ostrzej, bronił się przeto i wówczas padł niejeden cios świadczący potem długo o tym co zaszło. Rozniosła się też wieść, co dało powód do utarczki, i w całej dolinie zawrzało.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.